Przyjaciel Ludu.

Rok trzeci. **No. 18.** **Leszno, dnia 5. Listopada 1836.**



Okrężne w Sandomierskiém.

Okrężne w Sandomierskiém.

Będąc w Województwie Sandomierskiém, niedaleko od Wisły, nad brzegiem rzeczki Kamionny, byłem przytomny przyjemnemu widowisku, które tu w krótkości opisać zamyślam. Późno wieczorem, gdy już xiężyc w pełni swe światło roztaczał, usłyszałem nagle w wielkiéj liczbie głosy wesołe; za zbliżeniem poznałem, że przyczyną radości był koniec żniwa; najprzód postępowały dziewczęta i kobiety z sierpami w ręku, jedna z wieńcem na głowie na przodzie; za niemi szli starsi parobcy i gospodarze; za tymi górale gallicyjscy, którzy tu na robotę przychodzą, w ich miejscowych ubiorach, mając na czele muzykę właściwą; koniec orszaku stanowiły chłopaki na koniach. Przyszedłszy przed dom właściciela włości, stanęli w tym samym porządku; starsza zaś wiochna, która rej w żniwie prowadziła, a teraz wieniec pszeniczny na głowie niosła, zaczęła pieśń następującéj treści, któréj cała gromada wtórowała:

Otwórzże nam Panie nowy dwór,
Bo prowadzim wszystek zbiór.
Nażęliśmy, nawiązali kopeczek,
Jak na niebie gwiazdeczek;
Nażęliśmy, nawiązali trzysta kóp,
Dla naszego Pana na rozchód.
Sprawże nam Panie okrężne (po naszemu wieniec),
Bośmy żniwiareczki potężne.
Otwórzże nam Panie pokoje,
Co ci złożym wianek na stole.
Zabij nam Panie barana,
Bośmy sobie potłukły kolana;
Zabij nam Panie i byka,
Bośmy mieli ekonoma rzeźnika;
Damy mu z niego rogi.
Zabij nam Panie i gąski,
Bośmy sobie pokaliczyły paląski (palce),
Zabij nam Panie kogutka,
Bośmy mieli pisarza nie dudka.
Damy dla włodarza jaje,
Bo nam małe południe daje;
Dla dozorcy korzenie,
Bo to najgorsze stworzenie,
Dla karbowego chachoły;
Bo napakował pełne stodoły.
Nie kryjże się Panie przed nami,
Bo cię widziem oknami.
Od Krakowa wielki wiatr,
Nasza Pani jako róży kwiat;
U naszego Pana w Zapolu,
A u Gromadzkiego na polu.
U naszego Pana chłopy żyto biją,
A u Gromadzkiego jeszcze wilcy wyją.
U naszego Pana w śpiehrzu z przetakami,
A u Gromadzkiego na polu z sierpami.
U naszego Pana zielona podłoga,
Zjeżdzają się goście jak do Pana Boga.
Na kościele krzyżyk, na krzyżyku gałka
U naszego Pana z baryłką gorzałka.
Jegomość nam leje,
A Imość się śmieje;
Nie śmiéjże się serce moje,
Bo mi się rozleje.

Po odśpiewaniu wniosły wieniec do pokoju, i wróciły do swych towarzyszek. Kilka garncy wódki i piwa rozweseliły umysły, śpiewy najrozmaitsze z' treści i melodyi, krzyżowały się z skrzypkami Sandomierzanów, dudami górali, zkąd najdziwniéjsza powstała muzyka, porządek przyjścia zmieszanym został, chłopaki uganiali na koniach, porywali z konia stroje z kwiatów polnych dziewczętom; starzy radzili, czy zboże będzie sypać lub nie: czy Bóg więcéj lub mniéj dał w tym roku; w oczach górali jedynie było widać jakiś odcień smutku; zdawało się łatwo wyczytać w ich twarzach myśl, czemuż nie jesteśmy przytomni podobnym zabawom, w rodzinnéj stronie! Cały ten widok rozweselonego ludu, zadowolnionego z wypełnienia swych obowiązków, miał coś w sobie unoszącego, światłość jasna xiężyca, wypogodzone niebo, ciepło powietrza, nie mogło jak tylko dodawać uroku całemu widowisku. Wkrótce jednak czas, twórca i niszczyciel wszystkiego, położył koniec zabawie; pomału zaczęli się skupiać w poprzedni porządek, zanucili pieśń wesołą, potém nucąc pobożną wracali do domów. Długo jeszcze dochodził mnie coraz ciższy, oddalający się głos żniwiarzy; nareście tylko gdzie niegdzie słychać było głosy życzących sobie dobréj nocy, poczém nastąpiła nieprzerwana cisza; po długiéj pracy i kilku chwilach wesołości, rozpostarł sen swe błogie zasłony. Trudno opisać, jaką przyjemność uczułem, widząc tę niewinną zabawę pracowitego wieśniaka; zdawało mi się spostrzegać w jego twarzy tę instynktową dumę, to uczucie, iż pracą swéj ręki sprzątając owoce, żywi możnego Pana, przemyślnego kupca, skrzętnego fabrykanta, i że tém samem jest siłą ożywną narodów. Spóźniona pora sprowadziła i na mnie sen, którego już rólnicy błogo używali; przerwane zostały me dumania, lecz nawet na jawie nic piękniéjszego, ni słodszego marzyć nie mogłem, jak to, com widział w rzeczywistości.

O pieniążkach wykopanych pod Zaniemyślem.

O pierwiastkowych zawiązkach narodów, ich początkowym wzroście, kolejach, jakie w poranku mglistym, pierwszych dni życia przechodziły, równie jak o powstaniu człowieka, niepewne tylko mamy wiadomości. Szperanie w téj mierze, utrudza brak historycznych dowodów, mogących rzucić promyk światła i prawdy na ziemnione kilku wiekami dzieje narodów, które w ten czas dopiero, kiedy z czynów i zdarzeń ważniéjszych, wysnuł się wątek pamięci godny, myśleć poczęły o jéj zachowaniu. Obwiniać za-

tém ojców naszych o gnusność nie możem, obwiniajmy racéj samych siebie, że ją z tych zabytków, które nam ślepy częstokroć przypadek odkryć pozwolił, tak mało korzystamy; że na przedmioty, tchnące duchem kilku wieków, z taką obojętnością spoglądamy. Wejrzymy tylko na numizmatykę naszą! O ileż stoi ona niżéj, jak gdzieindziéj, mimo to, że nauka mennicza nie jest tak mało ważną, jak się zdaje na pozór; rzucić ona może światło, na stan politycznéj ekonomii; dać dowody, jak władza krajowa pełniła swoją powinność w oznaczaniu wartości kruszcowéj, lub nieprawego szukała zysku, z uszczerbkiem ogółu obywateli; wyjaśnia nieraz wypadki, które bez niéj podpadałyby zawsze ciemnemu, błędnemu wykładowi. Wprzód więc, nim powiem coś o pieniążkach, odkrytych pod Zaniemyślem, niech mi się godzi wspomnieć przynajmniéj początek mennicy polskiéj.

Chociaż o Polsce dopiero w Pamiętnikach Dytmara, towarzysza Ottona III., niemieckiego Cesarza, który Bolesława I. w Gnieźnie odwiedził, roku 1001, pewną jakąś znajdujemy wzmiankę; choć od niego pierwszą mamy wiadomość o przepychu i bogactwach dworu Bolesława, *) tudzież o monecie polskiéj, ofiarowanéj między innemi darami Ottonowi; jednak niepodobna jest mniemać, aby ta Polska, która pod owymi Piastami (860—91) pod Mieczysławem I. (962—92), tak silnie dźwigać się poczęła z ukrycia swojego, i tak zaszczytnie występować na widocznią świata; nie miała już w ówczas zostawać z innemi narodami w handlowych związkach, aby tém samém nie miała już w ówczas znać użytku pieniędzy. Późniéj, t. j. za Bolesława śmiałego (1058—81), Władysława Hermana (1081—1102), Bolesława Krzywoustego (1139), poczynione fundusze klasztorom i kościołom, do dziś dnia zachowane, są niezaprzeczonymi świadkami istnienia mennicy ówczesnéj. — Kadłubek wzmiankuje o nadużyciach w monecie bitéj **) za Mieczysława starego (1173—77), w napisanéj przez niego rozmowie między poborcą a płacącym. Mimo wszystkie te dowody, że już w X. i XI. stoleciu bito u nas monetę, żadnego jeszcze z owych czasów nie mamy pieniążka. — Dopiero z XIII. stolecia, znaleziony pieniądz z napisem i popiersiem Kazimierza, jest niezaprzeczenie Kazimierza Sprawiedliwego pieniądzem (1177—94); bo w ówczas żaden Kazimierz w pogranicznych nie panował prowincyach; przeciwnie zaś co do polskości monet z napisem „Bolizlaus,“ zachodzić może ta wątpliwość, że imię Bolesława jest wspólne Czechom i Polakom.

*) Dowód o istnieniu monety za Bolesława, znajduje się jeszcze w płaceniu daniny Swantopetrze (grosz Ś go Piotra), do Rzymu. Patrz Naruszewicz T. II. Roczniki Towarzystwa Warszawskiego, T. I. str. 360. Nota III.

**) Ed. 1711 roku T. II. str. 754.

W XIII stóleciu wielkiego zamięszania, zawikłania i nieporządku w historyi menniczéj, stała się przyczyną nadawana wolność bicia monety biskupom, opatom, a nawet i panom świeckim. Taki przywiléj przez Władysława Plwacza, syna Ottona, wnuka Mieczysława starego (1203—1207) Biskupowi Poznańskiemu nadany, dziś jeszcze czytać można. *) Miasto Sandomierz zachowało także swe prawo bicia monety nadane mu w 1286 roku.

Wacław panujący nad Czechami i Polską (1300—5), odkryciem lub urządzeniem, znanéj już przed nim kopalni Kutenbergskiéj, ważną stanowi epokę w dziejach handlu i rzeczy menniczéj 1300 roku. Wezwawszy myncarzów z Florencyi, zaczął bić grosze (grossus), co w zepsutéj łacinie „gruby“ znaczy. W Czechach zwano tę monetę „Denarii, grossi Pragenses;“ w Polsce dano im imię szerokiego srebra (latum argentum); lub szerokich groszy Praskich. Po Wacławie II. objąwszy rządy Władysław Łokietek, mimo zwyczaju, że następca niszczy niemiłego poprzednika ustawy, zachował grosze praskie, ale i o monecie krajowéj nie zapomniał. Syn Łokietka, Kazimierz (1333—70), jak w wielu innych zbawiennych urządzeniach, tak i w prowadzeniu monety, która jak mówi, sama się dobrocią swoją zaleci, zasłużył sobie na imię Wielkiego.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

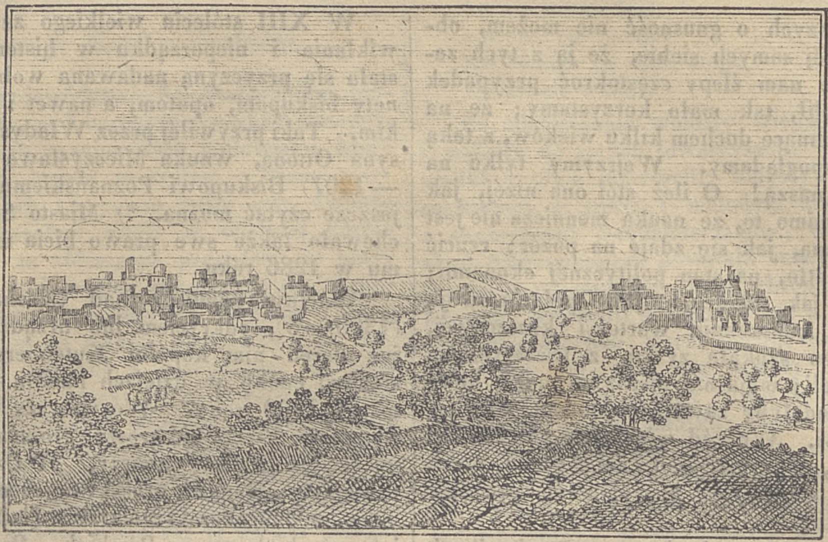
*) Concessit etiam praefatus Dnus (Vladislaus) in eodem privilegio Saulo Episcopo Posnaniensi, et suis successoribus monetam cudere in oppido Krobia, dans ei Villam, quae dicitur Sulkowa Krobia. (Bogufał str. 59.)

Sławne Anagramma.

Gdy po śmierci Rafała Leszczyńskiego, Stanisław objął dziedzictwo po ojcu; był także obecnym jako nowy dziedzic na popisie szkoły Kalwińskiéj w Lesznie. Będąc zupełnie zadowolniony z postępu młodzieńców w naukach, zaprosił całą szkołę i wszystkich nauczycieli na ucztę do siebie. Rektor ówczesny, chcąc uczcić nowego dziedzica, wybrał trzynastu najzgrabniéjszych i umiejących dobrze tańczyć młodzieńców; ubrał ich po rycersku, od stóp do głów w zbroi, z pałaszem w jedném, a z tarczą w drugiém ręku. Każdy na tarczy swéj miał jednę literę. Wystąpili w tańcu, który był gatunkiem baletu; ukończywszy pierwszy taniec, tak stanęli w ostatniéj figurze tańca przed Leszczyńskim, iż litery na ich tarczach ułożyły następne słowa:

DOMUS LESCINIA
(rodzina Leszczyńskich).

Lecz niedługo tak stali; przetańczywszy znów kilka razy, stanęli przed Leszczyńskim w innéj postawie, tak iż litery na ich tarczach następne ułożyły słowa:



Betleem.

OMNJS ES LUCJDA
(cała jesteś świetna.)

Po trzeciém przetańczeniu stanęli znów przed Leszczyńskim i czytać było można:

SJS COLUMNA DEJ
(bądź podporą religii.)

Po czwartém przetańczeniu czytać było można:

MANE SJDUS LOCJ
(zostań gwiazdą miéjsca.)

Po piątém nareście:

J, SCANDE SOLJUM
(idź, wstąp na tron.)

Dowcipny ten wynalazek podobał się bardzo Leszczyńskiemu, ponieważ mu podchlebiał. Lecz Anagrammat ten pozostanie na zawsze sławnym, raz przez to, że z trzynastu liter pięć zdań jest ułożonych, które mają z sobą związek; powtóre, że ostatnie zdanie zawiera w sobie przypadkowe proroctwo, że Leszczyński wstąpi na tron, czego w ówczas przewidzieć żadnym sposobem nie było można. Nie jestto wprawdzie wielka zaleta, żeby wysilać swój dowcip na podchlebstwa dla magnatów; ale był to w ówczas błąd wieku i niemożna brać tego za złe rektorowi; osobliwie dla tego, że szkoła, któréj przewodniczył, nie będąc narodową, lecz z prywatnych funduszów założoną, i przytém obcego wyznania, zawsze opieki i wsparcia dziedzica, który był możnym panem, potrzebowała. Nie dziw więc, że skarbił sobie rektor łaski nowego dziedzica. W. A. W.

Peregrynacya do Ziemi Śtéj.

(Dalszy ciąg.)

Lipiec. Dla bezpieczniéjszéj Betleemskiéj drogi, wzięliśmy z sobą janczarów dwu konnych i dwu pieszych. Blisko Betleem, w lewo od gościńca na strzelanie z łuku, jest studnia, mająca w sobie wodę świeżą i żywą, po którą nietylko z Betleem, ale i z bliskich wsi lud gęsto bieży; zowią ją cisterna David, o któréj jest w piśmie 2. Reg. 2. Ztąd po końcach wsi, która jakoby 50 domków ma, idziemy ku Betleem, *) i na lewo wstępujemy do kościoła, za wsią na strzelanie z łuku zmurowanego. Przybywszy do niego, zastaliśmy Bolucha z kilką Jańczarów, którzy nas byli sprowadzili z Damaszku: siedzieli natenczas w kościele, chłodząc się. Mieli z sobą tamże i konie. Bo iż kościół zawsze jest otworzony, Turcy kiedy im się podoba, i z końmi wjeżdżają. Jaka piękność jest tego dziwnie ozdobnego kościoła i wspaniałość, trudno słowy opisać! Albowiem zupełnie z marmuru przednie pięknego zmurowany, dwa rzędy wielkich słu-

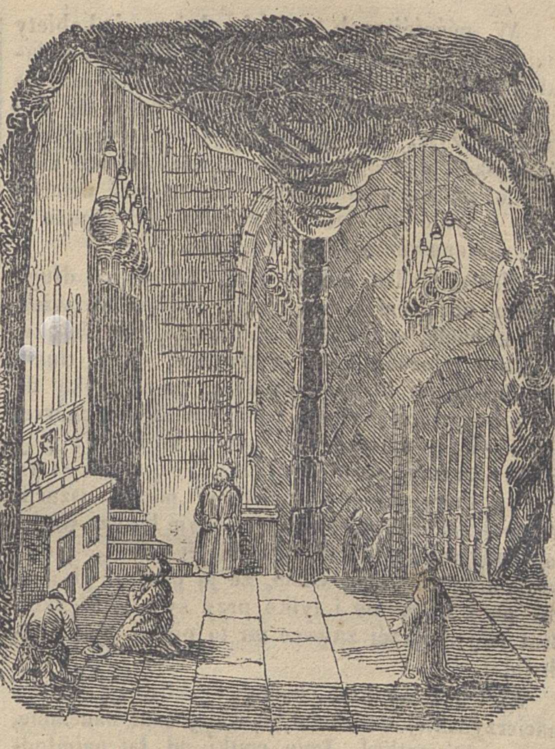
*) Betleem, małe miasteczko w Syryi, sławne narodzeniem Chrystusa Pana, leży pół trzeciéj mili od Jerozolimy, na górze, zarosłéj zupełnie drzewami oliwnemi i winem. S. Helena, matka Konstantyna W. Cesarza, kazała tutaj obszerny wybudować kościół: wiązanie z cedrowego drzewa wspiera się na 48 kolumnach z czerwonego marmuru. Prawie wszystkie ściany są marmurem, jaśpisem i pozłacanym bronzem wykładane, a kaplice oświecone mnóstwem lamp gorejących. Klasztór, stykający się z kościołem, otoczony jest wysokim murem, i podobien do twierdzy jakiéj, zamieszkany przez mnichów katolickich. Domy w Betleem są niskie; wodę sprowadzają do miasta akwaduktem: prócz tego w mieście znajdują się trzy cysterny, z których jedna w dobrym stanie. Mieszkańcy, z przeszło 500 familij złożeni, są czynni i pracowici; prawie wszyscy wyznają wiarę chrześciańską, używając szczególniéjszych przywilejów. Wyrabiają krzyże, różańce, które w grobie Zbawiciela poświęcone, od pielgrzymów kupowane bywają.

pów ma wewnątrz: mógłby się w nim przejrzeć: wierzch blachą położony. Święta Helena Cesarzowa zmurowała go; zakonnicy reguły Ś. Hieronima przedtém go trzymali; teraz tam ojcowie Bernardynowie swój klasztór mają, których ojciec gwardyan z Jeruzalem na każde sześć miesięcy odmienia, dla prześladowania, bo dosyć wielkie od Turków cierpią. Wszedłszy do kościoła, zstępowaliśmy w processyi do miéjsca podziemnego, czyli do kapliczki, która wzdłuż 18, wszerz 9, albo 10 ma łokci. Tam przeciwko drzwiom jest ołtarz, pod którym miéjsce marmurową tablicą kryte ukazują, gdzie się Pan nasz narodzić raczył; a na tym kamieniu, który na ołtarzu położony, taki jest napis:

Tu z Panny Maryi Jezus Chrystus raczył się narodzić.

Na samym ołtarzu przy ścianie jest tablica stara z malowaniem narodzenia Pańskiego. Nie dochodząc tego ołtarza, na 6 łokci po prawéj ręce, jest żłób w skale wycięty, w którym Pan nasz, gdy się narodził, był położony: nie bardzo wielki i szeroki, tedy drzewiany mniejszy weń był wprawiony, jako jest tego tu kraju zwyczaj. Przeciwko niemu, o trzech łokciach niemal, gdzie królowie trzéj upadłszy, chwałę Panu dali i dary ofiarowali swoje. Kaplica żłobu Pańskiego do katolików zupełnie należy: wiszą wprawdzie różnych narodów lampy, jako i w ś. grobie, ale je tylko zapalają na Boże narodzenie. Ciemna to kaplica bardzo, gdyż pod wielkim ołtarzem kościoła leży, i znikąd nie ma światła, chyba przez kraty obojga drzwi pobocznych. *)

*) Niektórzy uczeni powątpiwali, żeby to było toż samo miéjsce, gdzie się Chrystus Pan narodził; tymczasem głębsze badania dowiodły, że w owych krajach było zwyczajem mieszkać w podziemnych jaskiniach, i tam mieścić swój dobytek. Zwyczaj ten przeszedł do Chrześcian pierwszych wieków, lubiących także przebywać i ukrywać się w czasach prześladowania w podziemnych pieczarach.



Kaplica podziemna w Betleem.

Wspomnienie o Kazimierzu Brodzińskim.

Wszyscy miłujemy talent pełen rzewności i prostoty, cechujący poetycką i wzniosłą duszę Kazimierza Brodzińskiego; lecz nie każdy zdolny ogarnąć i skreślić rzeczywistą wartość rozmaitych, mnogich, i użytecznych pism jego. Nie jest przeto zamiarem naszym wstępować w trudny zawód, przechodzący zakres naszego Tygodnika, i zbyt słabym rysem uprzedzać głos zdatniéjszy i godniéjszy, jaki bez wątpienia wzniesie się kiedyś na uczczenie wszystkich jego literackich zasług.

Kilka słów tu umieszczonych, są wyłącznie poświęcone pamięci pierwszéj młodości, i ostatnich chwil jego. List poniżéj przytoczony, opisujący śmierć jego, jest jakby dopełnieniem następujących wyjątków z nader szacownego rękopismu, który, przed lat dziesięciu, bawiąc na wsi u jednego z przyjaciół, pod napisem: Wspomnienia méj młodości, pisać był zaczął, i ten początek u niego na pamiątkę zostawił. Nie wiem, czy w dalszym czasie zajmował się wykończeniem téj pracy, która tak pod moralnym, jak literackim względem, drogąby dla nas była puścizną. Tymczasem radzimy czytelnikom łaskawym, przejrzeć, dla porównania, życie Karpińskiego, przez niego samego pisane, a w N. 16 i następnych Przyj. L. z roku 1834 umieszczone, aby się przekonać, jak poeta, w dziełach swoich najbliżéj Karpińskiego stojący, i w moralnych uczuciach duszy był do niego podobnym.

„Urodziłem się roku 1791 z ojca Jana, matki Franciszki Radziejowskiéj. Ojciec mój był najprzód Plenipotentem Starosty Fryderyka Moszyńskiego w Starostwie Lipnickiém, a późniéj Dzierżawcą tych dóbr. Do śmierci matki mojéj mieszkałem w Królowce, wsi tegoż starostwa, gdzie się urodziłem.

Matki mojéj wcale nie pamiętam, miałem lat 5 gdy mię odumarła. Jedyna scena, którą z dziecinnych lat swoich pamiętam, jest pogrzeb mojéj matki. Jéj postać w trumnie aż do ubioru, do katafalku, na którym złożoną była, i do pieśni, które nad jéj ciałem ubodzy przez dwa dni śpiewali, pamiętam jakby wczorajsze zdarzenie, równie jak przepowiednią xiędza proboszcza, który w ten czas do nas powiedział:

Dzieci, będzie was biła macocha.

W późniéjszych czasach służące i kobiety wiejskie wiele mi o dobroci méj matki opowiadały, co najwięcéj słuchać lubiłem; i im jedynie winienem to przywiązanie do niéj, które do dziś we mnie żyje. W najsmutniéjszych wypadkach późniéjszéj młodości mojéj, zawsze się do niéj, jak do patronki, modliłem. Jéj postać umarła, którą jedynie pamiętam, zawsze mi smutne i pełne uszanowania czyni wrażenie.

Miałem jeden sen o niéj, który na długo żywém uczuciem mię przejął. Byłem w wielkim kościele, gdzie ona na chórze, w ubiorze, w jakim złożoną była w trumnie, wśród tłumu podobnych jéj bladych niewiast, mnie ręką do siebie wzywała. Wnet znalazłem się na chórze, a uściski jéj dziwną mię upoiły roskoszą; gdy nagle ogromny głos od ołtarza requiescat in pace, który długo brzmiał w moich uszach, sen mój zakończył. W dziecinnym bardzo wieku napisałem elegią do cieniów mojéj matki, któréj wcale nie pamiętam; wiem, że ją płacząc pisałem i w nocy na oknie i tylko przy świetle xiężyca. Brat mój Andrzéj zawsze mi to pismo moje wychwalał.

Niewiem czy kto, choćby najtkliwszéj miłości macierzyńskiéj doznawał, mocniéj czuł nademnie, co to jest matka! Imię matki od lat najmłodszych było dla mnie świętém nazwiskiem. Widok moich spółuczniów i późniéj młodzieńców przy matkach, napełniał mię rzewném uczuciem. Nie mogłem się utulić ze smutku, który się cisnął w me serce, gdym widział lub słyszał wyrazy troskliwości i przywiązania macierzyńskiego. Nie tylko dla matek, ale i dla spółuczniów moich, których obok matek widziałem, miałem jakowyś dziwny rodzaj uszanowania. Uważałem synów, mających matki, choćby daleko uboższych odemnie, za jakoweś wyższe, do szczęścia od natury przeznaczone istoty. Kochałem ich więcéj, dla tego, że ich matki kochały. Wiele samotnych nikomu nieznanych łez mię kosztowało, gdym widział dziecię od matki pocałowane. Może to było dziecinne przesadzone uczucie, ale go pojmie ten, co do lat dojrzałych doszedłszy, nieznał co to jest uścisk rodzicielski. Pragnąłem zawsze, i mniemałem w sercu, że zasługuję na miłość u kogoś, ale do późnych lat żadnéj niedoświadczałem. Nie mieć matki, która jedynie wychowanie serca dać może; nie mieć istoty, przed którą możnaby się szczerze, z wszystkiemi dziecinnemi fraszkami, z owemi pierwszemi uczuciami wywnętrzyć, to jest co nam nadaje najwięcéj owe czucie w sobie samym się trawiące, ową nieśmiałość do ludzi, a najbardziéj niebaczność na swoje postępowanie, od drobnych nałogów, znaczeń i przykładów zacząwszy. Do dziś dnia czuję to w sobie. I gdybym dziś jeszcze znalazł taką istotę, ręczę, że spowiadałbym jéj się jak dziecię ze wszystkiego, we wszystkiém byłbym jéj posłuszny. Do dziś dnia nie czuję w tym względzie żadnéj męzkiéj wyższości i dojrzałego wieku. Każda kobieta, tytułem matki ozdobiona, ma odemnie jakąś cześć miłości synowskiéj. Zdaje mi się, że człowieka jest potrzebą, aby kochał swą matkę; że kto jéj nie ma, upatruje ją wszędzie i we wszystkiém chce ją sobie nagradzać. Do znanéj matki tęskniemy w całém życiu jak do ziemi, na któréj się nasze życie rozwijać zaczęło; o nieznanéj marzymy jak o raju, lub o świecie obiecanym, i nadgradzamy ją sobie, tworząc o niéj jak najdoskonalsze wyobrażenie....

W szczupłém mieszkaniu macochy, którą moje próżniactwo bynajmniéj nieobchodziło, miałem mieszkanie moje na strychu, do którego po drabinie wchodziłem, gdzie tylko na pościeli mogłem siedzieć, pisać lub czytać gramatykę. Tam między innemi rzeczami postrzegłem wór papierów, po ojcu moim zebranych. Między listami, regiestrami, było wiele drukowanych, na arkuszach i półarkuszach, mów Sejmu czteroletniego, wierszy najwięcéj na imieniny różnych Panów lub króla Stanisława; jak to bywało zwyczajnie, iż podobne rzeczy osobno drukowane, po wszystkich się domach rozchodziły, prędzéj, niż gazety i książki. Z chciwością wielką odłączyłem te skarby mojéj lektury od papierów na nic nie przydatnych, a biorąc po świstku w pole, czytałem głośno te mowy, te wiersze.

Wiersze sprawiły mi roskosz, jeżeli w nich jakie porównanie, jaki obraz znalazłem. Ubogie to było żniwo powinszowań Naruszewicza, X. Zubowskiego; lecz były i niektóre Trembeckiego bez podpisu, które mi się nieskończenie wyższe zdawały i w pamięci utkwiły. Te jednak wiersze lubo wcale dla mojego wieku i moich skłonności niestósowne, obudziły we mnie chęć pisania, a przynajmniéj naprowadziły mię na poznanie zewnętrznego składu wiersza.

Póki jeszcze służyła pora jesienna, chodziłem w pole, i ukryty w gęstwinach, układałem w rymy, co mi do głowy przyszło; jak pisklę w gnieździe, które instynktem samym wiedzione, inne ptaki naśladować usiłuje.

Przecież zbliżyła się wiosna razem z wielkanocą. Zajmowało mię wielce nabożeństwo wielkotygodniowe, a przez znajomość z organistą, należałem w części do czynności kościelnych. Uderzyły mię szczególnie śpiewane przez niego psalmy przy grobie Chrystusa. Śpiewałem je z nim samym, późniéj kolejno; nazajutrz całe rano i po południu sam nieustawałem śpiewać, a organista z ochotą dał się wyręczyć. Nigdy nie zapomnę uroku, jaki na mnie wtenczas sprawiły tak śpiewane pieśni Dawida! Po skończonéj uroczystości wielkotygodniowéj, potrafiłem uprosić od organisty książkę, któréj używał; czytałem i śpiewałem w pole uchodząc najdaléj, żeby mię ludzie nie słyszeli. Pogodziłem się z zarzuconą grammatyką łacińską i czułem słodycz tego języka. Marzenia moje zaczęły być nie już tylko poe-

tyczne, ale i religijne, a od smutku i tęsknoty do błogiéj wesołości i nadziejnych marzeń przeszedłem.

W tym właśnie czasie odebrałem list od brata Jędrzeja, który z uniwersytetu Lwowskiego przybył do Stryja, mającego znaczne probostwo w Wojniczu, o cztery mile od Rajgroda. Co to była za radość moja, czytać list cały o poezyi, któréj się brat mój z największym zapałem ciągle oddawał, i dołączone do niego przekłady wierszem niektórych rozdziałów Tomasza a Kempis, a nawet całéj tragedyi przez niego napisanéj pod tytułem Ludgarda.

Posłałem mu nawzajem moje ramoty, odebrałem odpowiedź zachęcającą, pełną miłości braterskiéj i poezyi. Już i psalmy i płynąca z nich osłoda nie były wystarczające. Niesypiałem z tęsknoty do brata, do jego książek.

W ogólności nie znalazłem koło siebie ani jednéj istoty, któraby moje zamiłowanie w poezyi dzieliła, a własnie w tym czasie czułem potrzebę nie tak obcowania i poezyi, jak przyjaźni, które to uczucie w młodym wieku tak jest żywe i zajmujące. Myślałem i wierzyłem, że każda przyjaźń zawiązana trwać powinna wiecznie i żyć poświęceniami. Młodzieniec jeden, Karpiński, samem nazwiskiem zwrócił na siebie moją uwagę, choć nie był krewnym poety, i do poezyi najmniéjszego nie czuł powabu. Powolny, cichy, jak anioł niewinny, zajął całe me serce; zkąd ten tylko zysk odniósł, iż go gwałtem trapiłem, aby odpowiednie imieniowi, był poetą. Dobroć jego czyniła co mogła, jam zachęcał, poprawiał: ale to nie szło.

Nakoniec znalazłem przyjaciela, jakiego sobie exaltowana moja imaginacya wystawiać mogła. Był to syn professora, Karól Parczewski, o parę i więcéj lat odemnie młodszy, pobożny, pracowity, w mych oczach piękny, jak anioł, zawsze uniesiony, i pełen do poezyi skłonności. Zdarzenie zbyt smutne było początkiem naszéj najgorętszéj przyjaźni. Poszło nas kilkunastu do rzeki Biały, kąpać się, gdzie kolega nasz Przygodziński daleko się od reszty oddalił, i niepostrzeżony od nikogo utonął. W kilka dni dopiero znaleziono jego ciało, już okropnie oszpecone, i przywieziono do domu. Całą noc po tym widoku nie spałem, i łzami papier polewając, napisałem elegią na śmierć nieszczęśliwego; jedyna moja poezya, którą spółkolegom przeczytałem, która ich wszystkich zajęła jako wynikła z wypadku, który na wszystkich wrażenie uczynił.

Nawet professorowie pochwalili tę moją pracę, a młody Parczewski ze łzami rzucił się w moje objęcie, nie mogąc słowa wymówić. On przyprowadził do mnie nieszczęśliwą matkę Przygodzińskiego, która dowiedziawszy się o okropnym losie syna, z prowincyi przybyła. Ona rzewnie płacząc, ściskała mię według jéj wyrazów jak syna, i dziękowała za biedne wiersze o nim, które ją doszły.

Mało kto może uwierzy, iż to był dla mnie pierwszy uścisk i kobiety i matki; że był u mnie rzeczą nadzwyczajną; żem płakał jak małe dziecię, myśląc, iż nie mam matki, któraby na mój zgon była podobnie tkliwą!

Skromność jego nie przyznawała sobie, że żal po nim nie zamknie się w obrębie rodziny! Ileż serc dzisiaj matki tkliwością opłakuje zawczesny zgon jego!

Szczegóły o ostatnich chwilach jego zawiera list następujący:

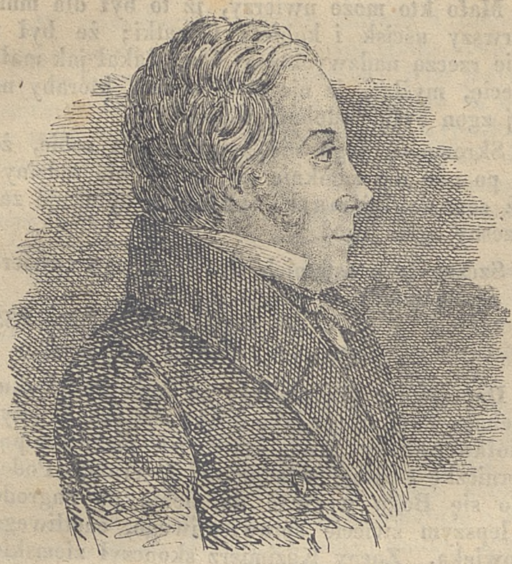
16. Października 1835
z Drezna.

Pani!

Dopełniając przypadłego na mnie obowiązku, przebacz Pani, iż ją jako bliską znajomą i przyjaciółkę rodziny Brodzińskich za pierwszą powierniczkę smutnéj wiadomości obieram. Podobało się Bogu wezwać do siebie po nagrodę w lepszym świecie sprawiedliwego, cnotliwego człowieka. Zacny Kazimierz skończył ziemskie cierpienia i smutki dnia 10. Października w sobotę o godzinie 10. w wieczór, a skończył tak spokojną, tak łagodną śmiercią, iż ja świadek jego skonania, ze czcią patrząc na niego w téj uroczystéj chwili, żałować go nawet nieśmiałem, i tylko sobie samemu podobnéj kiedyś śmierci życzyłem. Kto tak jak on żył i umierał, ten, niegodzi się wątpić, jest już tam od nas szczęśliwszy. Ale czuję aż nadto, że chyba sam Bóg pocieszyć zdoła zacną jego żonę i dziecię. Wiadomość o tém zawsze dla nich równie boleśna, mogłaby się stać jeszcze boleśniéjszą, gdyby się jéj niespodzianie lub z obojętnych ust dowiedzieć miały. Możesz ich Pani jak najsumienniéj zaręczyć, że co tylko sztuka i troskliwość lekarzy i przyjaciół uczynić mogły, wszystko to było użyte, aby go przy życiu utrzymać i stan jego cierpień osłodzić! Choroba jego wolną była od wszelkich gwałtownych boleści; powolne tylko ubywanie sił życia, postęp jéj oznaczało.

Spokojność duszy i łagodność nieodstępowały go ani na chwilę. Z pokorą i zaufaniem poddawał się woli Bożéj. O żonie i córce wspominał często i zawsze z największą czułością.

W wilią śmierci czuł się weselszym i swobodniéjszym, niż kiedy. Drzymiąc na w pół w nocy miał bardzo piękne widzenie, o którém sam z wielkiém wzruszeniem powiadał, i które mu wielką radość i spokojność przyniosło. Widział przed sobą Zbawiciela w białéj szacie, który uśmiechając się łagodnie, rękę ku niemu wyciągał. Widzenie to i list żony, w którym mu o troskliwości przyjaciół donosiła, były osłodą ostatnich chwil jego. Z wdzięcznością dziękował Bogu i umarł z zaufaniem, że Bóg i przyjaciele nie opuszczą osieroconéj rodziny i pocieszać ją będą. Pokój duszy sprawiedliwego! Oby tylko pokój i pociechę Bóg wlać raczył w dusze bolejących po nim! Pogrzeb odbył się



Kaź. Brodziński.

13. Października. Wszyscy znajomi oddali mu ostatnią usługę.

Dwa te ustępy z pierwszéj młodości i ostatnich chwil Kazimierza Brodzińskiego, malują duszę i umysł jego, i dają wyobrażenie o życiu tego, co tak zaczynał i tak kończył. †

Przysłowia i Piosnki gminne.

Wtenczas łyka drzeć, kiedy się dadzą.
Na kogo Pan Bóg, na tego wszyscy Święci.
Jeszcze piwko nie wyszumiało.
Pan Bóg radzi o swojéj czeladzi.
Był to koń, ale się zjeździł.
Ani posła, ani osła.
Musisz mieć złych sąsiadów, bo się sam chwalisz.
Gdzie ci radzi, rzadko bywaj; a gdzie nie radzi, nigdy.
Lepszy łót szczęścia, niż funt rozumu.
Małe dzieci, mały kłopot; duże dzieci, duży kłopot.
Przez posłów wilk nie syty.
Potrzebnyś tam, jak djabeł w Częstochowie, albo jak dziura w moście.
Podczas nocy ciemnéj, gość jest nieprzyjemny.
Kto ze strachu umiera, temu w pierzynę dzwonią.
Komu w drogę, temu czas.
Za twoje myto, kijem cię bito.
Jam nie bocian, abym świat czyścił.
Złéj tanecznicy, to i słomka na podłodze zawadzi.
Nie masz śmierci bez przyczyny.
Więcéj znaczy napomnienie roztropnemu, niż sto plag głupiemu.
Wyszły szydła z motowidła.
Lepiéj w czas, niż po czasie.
Pani stara, co uszyje, to rozpara.
Stroi baba Firleje, jak sobie w czub wleje.
Wybiera się, jak za morze.

Leci woda, leci,
A koło niéj koło;
Gdzie ja się obrócę,
Wszędzie mi wesoło.

Tużci moja, tużci,
Bóg nas nieopuści;
Obojeśmy młodzi,
Kochać nam się godzi.

Tyś mi miluśka, kochanko,
Tyś mi miluśka;
Oczki ci się połyskują,
Całaś raźniuśka.
Tyś mi niemiły, kochanku,
Tyś mi niemiły;
Wąsiska ci spleśniały,
Oczy podgniły.

Idzie mi o cię, kochanko,
Idzie mi o cię;
Choćbyś była pod Poznaniem,
Pojadę po cię.

Podaj mi konia, podaj mi konia,
Szablę do pasa;
Pojadę do niéj, pojadę do niéj,
Z nią się ucieszę.
Przyjechał do niéj, przyjechał do niéj,
Puknął w okienko;
O wyjdźże, wyjdź; o wyjdźże, wyjdź,
Moja kochanko.
Marysia wyszła, Marysia wyszła,
Jak różowy kwiat;
Oczki zapłakała, oczki zaszlochała,
Zmienił jéj się świat.
„Czegoż to płaczesz, czego wyrzekasz,
„Marysiu moja?“
„„Jakże nie mam płakać, jak nie mam wyrzekać,
„„Nie będę twoja.““
Będziesz Marysiu, będziesz Marysiu,
Będziesz dalibóg;
Rają mi cię ludzie, dobrzy przyjaciele,
Najprzód sam Pan Bóg.
Choćby mi grali, choćby trąbili
Wszyscy trębacze;
Gdzie się obrócę, gdzie się obrócę,
Za tobą płaczę.

Oj wygrał nasz Pan, wygrał,
Wszystkich chłopków ze wsi wygnał.
Oj dobrzeć on to zrobił,
Bo będzie sam na się robił;
Obwinie się w grochowiny,
Będzie robił, tak jak i my.
Dobry nasz Pan, dobry, puste role sieje,
Już czeladź zniszczył, sam się ledwo chwieje.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Red. Ciechański.)